Arno| Bojanowscy| Buchalik| Fedor| Grzelewski| Halcewicz-Pleskaczewski| Horzela
Kaczmarek| Kapuściński| Kuczera| Liebling| Maciąg| Matyaszewski| Mołoniewicz| Murcia
Pienkowski| Pernal| Poremba| Rapacki| Rittenhouse| Siuda| Stanisławska| Story| Szynkiewicz

KONTYNENTY

35
2/2021

Olga Stanisławska
Jacek Poremba

Sudan.
Nieśpieszne migawki

CENA **30 zł** (w tym 8% VAT)
9 772084 991215 02

W sprzedaży

Więcej wzorów indyjskich zakładek
ręcznie wykonanych z drewna kadamba,
w cenie 9,99 zł, znajdziesz na stronie www

magazynkontynenty.pl

W sprzedaży

Książka jest także dostępna jako
e-book w formatach EPUB i MOBI

magazynkontynenty.pl

Kadr

Dariusz Fedor
redaktor naczelny

Za krótka była ta sukienka. Dziewczyna próbowała ściągnąć jej obcisłą biel niżej. Dłonie kompulsywnie przesuwała w dół – może jeszcze centymetr, może dwa. Nie wiem, po co. Nie wyglądała mniej obyczajnie niż inne wsiadające i wysiadające z wagonów metra na stacji Champs-Élysées – Clemenceau. A może La Motte-Picquet – Grenelle? Nie pamiętam. Jakie to zresztą po kilku latach może mieć znaczenie?

Znaczenia nabiera obraz, który utrwalił się w pamięci i wyzwolił z paryskiego kontekstu. A więc dopowiedzmy ten obraz.

Za oknem wagonu przesuwa się ludzki fotoplastikon. Wiosenny, radosny, młodzieńczy. Chłonę ten fenomen zmienności tłumu, przez szybę patrzę, jak jego fale przybierają i odpływają. A w tym mieście te ludzkie pływy są szczególnie intensywne od kolorów, gry świateł, zmienności form, indywidualnych inwencji i kreacji. Co jeszcze mignie za szybą?

Ona stała pod ścianą, twarzą do mojego okna. Naprzeciw niej, tyłem do mojego okna, stał chłopiec. Miał na sobie skórzaną kurtkę, ciemne włosy ujarzmione jakąś błyszczącą pomadą spadały mu na kołnierz. Przestępował z nogi na nogę. Gwałtownie gestykulował. Chyba nawet chwycił ją za ramię i potrząsał. Wznosił rękę, jakby chciał uderzyć. Nie uderzał. Groził.

Widziałem jej oczy – duże, ciemne, rozbiegane. Przestrach na jej twarzy. Jej smukłe dłonie i czerwone paznokcie. Za krótka była ta sukienka. Próbowała ściągnąć jej obcisłą biel niżej. Dłonie kompulsywnie przesuwała w dół – może choć centymetr, może dwa. Stała przed nim lekko skulona. Za krótka była ta sukienka – dla niej. Nie dla niego.

Pociąg ruszył. Ona została ze swoim strachem. On został z nią. Mieli po siedemnaście lat, nie więcej. W Paryżu, wiosną, w kolorowym, radosnym, sobotnim tłumie nieszczęście zawisło nad dwojgiem młodych.

Ja zostałem sam z tym obrazem.

Każda podróż to ciąg obrazów. Po jeziorze sunie bieda-łódka z zadartym dziobem. Starszy chłopiec wiosłuje, młodszy wyciąga dłonie z wystraszonym rudym zwierzątkiem. Można pogłaskać za kilka groszy. Mostkiem nad przesmykiem idzie mnich pod parasolem, wiatr rozwiewa jego szafranową szatę. Panna młoda – tak odświętnie przybrana, że tylko wdziękiem może dowieść, że nie jest dziełem sztuki, lecz osobą – i jej mąż oficer pozują do fotografii na tle Sri Pada – Szczytu Adama. To moja Sri Lanka.

Barmanka z nabożeństwem wznosi rękę z butelką txakoli, zielonkawe wino nalewane znad głowy napełnia płaską szklaneczkę, rozpryskuje się na boki. Siwy sprzedawca z uśmiechem podaje papierową torebkę z churros, cukier zsuwa się ze złocistych racuszków i szeleści na dnie tutki. Chwila wytchnienia od skwaru na ławeczce-dziele sztuki Gaudiego na Passeig de Grácia – to moja Barcelona.

Stara otyła kobieta odkłada kule, na których się wspierała, i rusza z wdziękiem do ostrożnej salsy na parkiecie Casa de la Trova z równolatkiem, który dla niej odstawia szklaneczkę taniego rumu – to moja Kuba.

Kopuły opuszczonego meczetu – oglądam ich wklęsłość od dołu i wypukłość, chodząc po dachu. Ćajwala na wysypisku nalewa z aluminiowego czajnika wrzący, przesłodki ćaj do papierowego kubeczka i podaje mi wyćwiczonym od pokoleń gestem; temperatura sięga 50 stopni – to moje Indie.

Moje życie to ciąg obrazów.

W tych „Kontynentach" w świat – w życie – niech wywiodą nas obrazy. Niech poprowadzą przez Sudan i Jemen; Japonię japońską i niejapońską; niech doprowadzą do Indii w Dubaju i do Latynoafryki; niech odsłonią tajniki katalońskiej domeny diabłów i gigantów i oprowadzą po domu w Argentynie – miejscu narodzin Małego Księcia; niech zaprowadzą do Oka Ziemi i do Krainy Wygasłych Wulkanów; niech wzbudzą apetyt na Paryż kulinarny i Paryż nieczysty w oczach wędrowców z Persji; niech zaskoczą geometrycznymi widokami Polski z góry, bohomazami na naszych murach i billboardach i nieznośną symetrią duńskiej mieściny. I niech w końcu wyprowadzą nas w pole – do Olędrów znad Buga.

Topografigle

6 Transgranik
14 Azjans
53 Afrykas
126 Amerykant

Obraz świata

8 **Krzysztof Story,** Polska. Mury, murki, murale
48 **Tomasz Fedor,** Dubaj. Małe Indie
110 **Robert Robb Maciąg,** Kraina Wygasłych Wulkanów
146 **Tomasz Siuda,** Z góry. Odpryski

Azja

16 **Magdalena Rittenhouse,** Japonia. Modlitwa pędzlem
32 **Lucjan Buchalik,** Ajnowie znaczy ludzie

Afryka

54 **Rafał Grzelewski, PAH,** Jemen. Tuż za linią frontu

Galeria

64 **Sudan. Powolne migawki**
Tekst: **Olga Stanisławska**
Fotografie: **Jacek Poremba**

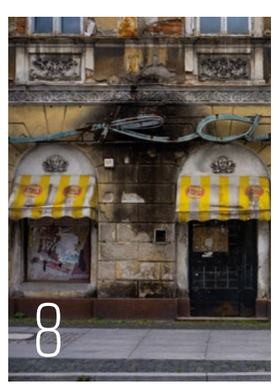

Zdjęcie na okładce: Jacek Poremba

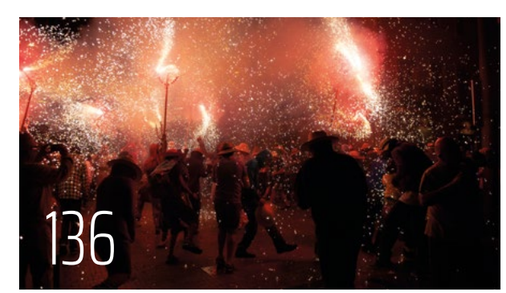

Rozmowa „Kontynentów"

86 Po co ta podróż? O „Listach perskich" Monteskiusza w 300-lecie ich powstania rozmawiają **Paweł Matyaszewski i Kuba Halcewicz-Pleskaczewski**

Dobra książka

94 **Ryszard Kapuściński,** Latynoafryka
104 **A. J. Liebling,** Między posiłkami. Apetyt na Paryż

Ameryka

116 **Michał Kaczmarek,** Yellowstone. Oko Ziemi
128 **Marek Pernal,** Argentyna. Dom Małego Księcia

Rzeczy, które możesz robić nieśpiesznie, będąc...

134 ...w Christiansfeld w Danii, **Agnieszka i Ignacy Bojanowscy**

Europa

136 Renesans diabłów i gigantów. Katalonia wraca do korzeni
Tekst: **Katarzyna Mołoniewicz**
Zdjęcia: **Victor Murcia Pienkowski**
150 **Franciszek Rapacki,** Polska. Olędrzy znad Buga

Leśne gadki

156 **Piotr Horzela,** Jak kuna robiła mnie w konia

Z archiwum „Kontynentów"

158 **Stanisław Kuczera,** Wyprawy Czeng Ho
161 **Sławoj Szynkiewicz,** Piętnowanie uczonych. Rzecz o Stanisławie Kuczerze

Transgraniki

Drodzy Czytelnicy, trudniej się ruszać z miejsca, czas ruszyć głową! W tym numerze naszego pisma znajdziecie cztery łamigłówki geograficzne. Ale UWAGA, pochodzą one z „Kontynentów" z lat 60. XX wieku. Są to zatem krzyżówki o podwójnym stopniu trudności: żeby odgadnąć prawidłową odpowiedź, trzeba nie tylko znać geografię, ale na dodatek cofać się w czasie. **Przykład? W poniższym logogryfie jest pytanie o stolicę Birmy. Na współczesnej mapie nie znajdziecie jednak nazwy Birma, a i stolica jest inna... Zmieniła się także pisownia niektórych nazw. Zatem – do dzieła!**

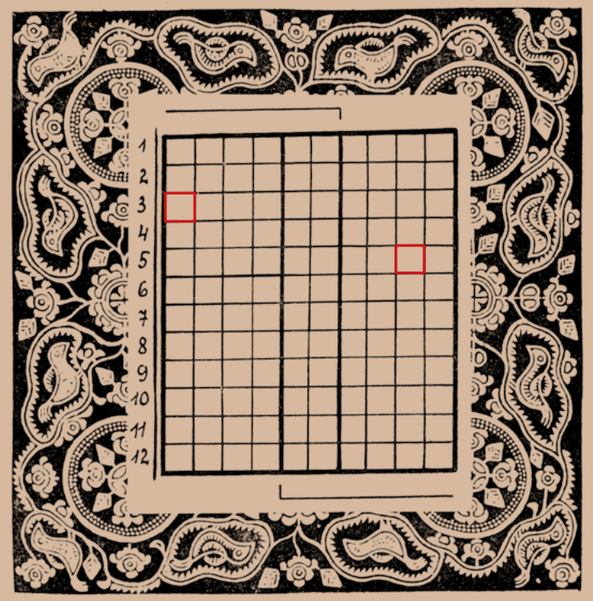

Logogryf

Do podanej figury wpisać poziomo w każdym rzędzie po dwa wyrazy sześcioliterowe w ten sposób, aby ostatnie dwie litery pierwszego wyrazu były zarazem dwiema pierwszymi literami drugiego wyrazu.

Znaczenie wyrazów:

1. Silnie trujący sok rośliny w Am. Południowej, używany przez tubylców do zatruwania strzał – Stolica Birmy, **2.** Drugie święte miasto islamu – Prezydent Zjednoczonej Republiki Arabskiej, **3.** Gatunek małpy afrykańskiej – Grupa wysp w Ameryce Łacińskiej, **4.** Wyspa u południowo-wsch. Wybrzeży Chin – Owoc z krajów tropikalnych, **5.** Afrykańskie zwierzę kopytne – Tytuł władców starożytnego Egiptu, **6.** Grupa wysp na Pacyfiku (USA) – Włókno naturalne i tkanina z przędzy pochodzącej z Chin, **7.** Olbrzymie rozłożyste drzewo afrykańskie – Port w Zatoce Perskiej, **8.** Królestwo w Płn. Afryce – Jamochłony morskie o silnie rozwiniętym szkielecie wapiennym, **9.** Miękki kapelusz słomkowy pleciony z włókien drzew rosnących w Ameryce Środ. – Największe miasto i główny port Filipin, **10.** Tropikalne ziemniaki – Rzeka w Mezopotamii, **11.** Rodzaj małego statku żaglowego na wodach chińskich – Gatunek krokodyla żyjącego na w Ameryce Płd. i Środk., **12.** Jedna z niewielu kolonii w Ameryce Łacińskiej – Miasto w Chinach środkowo-wschodnich, dawna stolica, dziś ważny ośrodek kulturalny.

„Kontynenty" nr 11 z roku 1965

Rozwiązanie: s. 162

Logogryf pochodzi z „Topografigli" – zbioru łamigłówek publikowanych w „Kontynentach" w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. Zostały one pogrupowane w następujące części: „Transgraniki", „Azjanse", „Afrykasy" oraz „Amerykanty". Książka ukaże się już we wrześniu nakładem Oficyny Wydawniczej Kontynenty.

SPINALONGA
PRZEMILCZANA HISTORIA
OSTATNIEJ KOLONII DLA TRĘDOWATYCH W EUROPIE

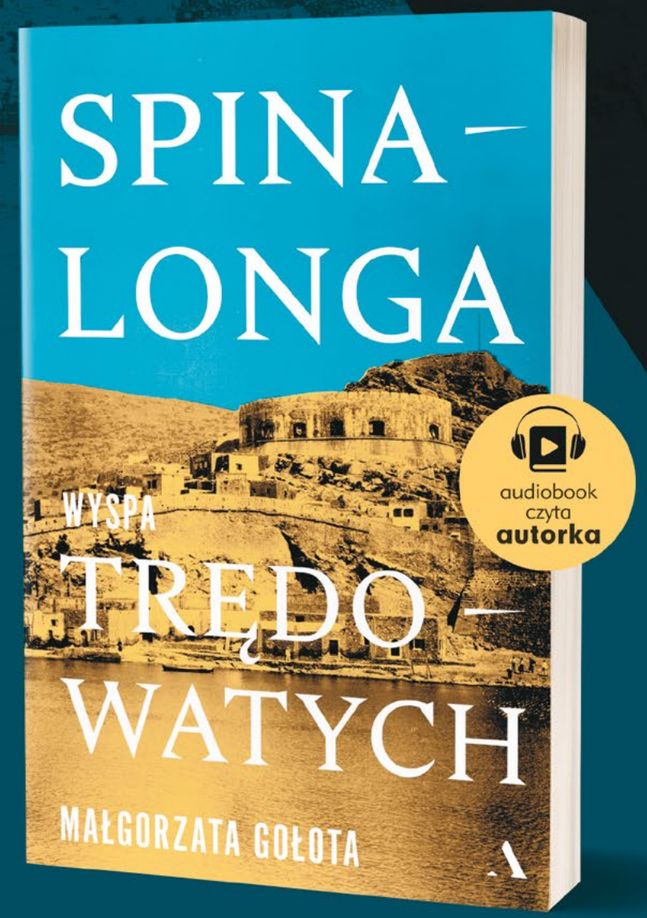

Małgorzata Gołota zebrała poruszające świadectwa i historie osób dotkniętych trądem. Jej książka otwiera czytelnikom oczy na nieznany świat, świat, który – wydawałoby się – dawno przeminął. Koniecznie trzeba przeczytać.

Janina Ochojska

Opowieść wprost z cienia, który wciąż zalega w pamięci słonecznej Krety. Poruszająca, wspaniała robota reporterska, ale i bolesne memento na „czas zarazy".

Paulina Młynarska

Opowieść Małgorzaty Gołoty o Spinalondze boli.

Dorota Wellman

KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

Mury, murki i murale

Krzysztof Story

Dziennikarz „Tygodnika Powszechnego". Pisze o kwestiach społecznych i relacjach człowieka z naturą, tworzy podkasty, występuje jako mówca. Laureat Festiwalu Wrażliwego i Nagrody Młodych Dziennikarzy. Piękno przyrody przedkłada nad każde inne. Wspina się, podróżuje i kolekcjonuje zdjęcia napisów na murach. Na przekór wszystkiemu kocha kraj, w którym żyje. Zdjęcia i teksty publikuje też w „Kontynentach" i na *www.krzysztofstory.pl*

„Z perspektywy Drogi Mlecznej wszyscy jesteśmy ze wsi" – taki napis na murze przywitał mnie, gdy niedawno wychodziłem z tunelu pod peronami na dworcu Warszawa Wschodnia.

Przestrzeń mówi do nas. Mówią mury, murki i murale. Przestrzeń uczy, przestrzeń pyta, ale wcale nie czeka na odpowiedź.

Od lat kolekcjonuję największe dokonania polskiej myśli ulicznej. Fotografuję napisy na murach, ścianach i w publicznych toaletach. Bohomazy, bazgroły i billboardy. „Kocham Jolę", „Legia pany", „Wstęp wzbroniony" lub „Wstęp zakazany". Żonglerka słowem i tańczące metafory. Ale na swoich ścianach Polska wypisuje nie tylko bzdury. Wypisuje też lęki, nadzieje i poczucie humoru. Betonową poezję, chodnikowe listy miłosne i pamiętniki z blokowisk. Wszystko w wykonaniu samozwańczych speców od marketingu lub bezimiennych artystów z butelką spreju w ręce.

W lipcu nakładem Oficyny Wydawniczej Kontynenty ukazała się debiutancka reporterska książka Krzysztofa Storego pt. „Stąd. 150 drzwi pod jednym adresem"

JEZUS

TELEPORTER
MĘSKI
DAMSKI

KEBAB
KUCHNIA POLSKA
pepsi

PALIWA ORLEN
SKLEP

BAR
DISCOCZAR

kasy biletowe PKP
KASA
KASA BILETOWA
ARRIVA
FHU WYTEL

Las
VEGAS

WOLNOŚĆ
ZACZYNA
SIĘ TAM
GDZIE
KOŃCZY
SIĘ STRACH
HO!

ZEGARMISTRZ

Lay's
Nabiał
Napoje
Art. spożywcze

Azjanse

Logogryf

Do podanej figury wpisać poziomo 13 wyrazów według poniższych znaczeń. Litery w zaznaczonych polach czytane pionowo dadzą przydomek i nazwisko politycznego i duchowego przywódcy Hindusów w walce o niezawisłość.

Znaczenie wyrazów:

1. Słynny grobowiec w Agrze, **2.** Największy dopływ „świętej rzeki" braminów, **3.** Miasto w stanie Uttar Pradesz – ośrodek kultu religijnego w Indiach, **4.** Zatoka, do której wpada „święta rzeka", **5.** Roślina wodna, motyw ornamentacyjny sztuki buddyjskiej, **6.** Wielki port na Morzu Arabskim, **7.** Tradycyjny strój kobiecy w Indiach, **8.** Najwybitniejszy pisarz indyjski czasów nowożytnych, **9.** Ptak spotykany w stanie dzikim w lasach wschodniej Indii, **10.** Język wywodzący się z sanskrytu, **11.** Tytuł władcy hinduskiego, **12.** Nieżyjący już wielki indyjski mąż stanu, **13.** Stan we wschodniej Indii.

„Kontynenty" nr 5 z roku 1965

Rozwiązanie: s. 162

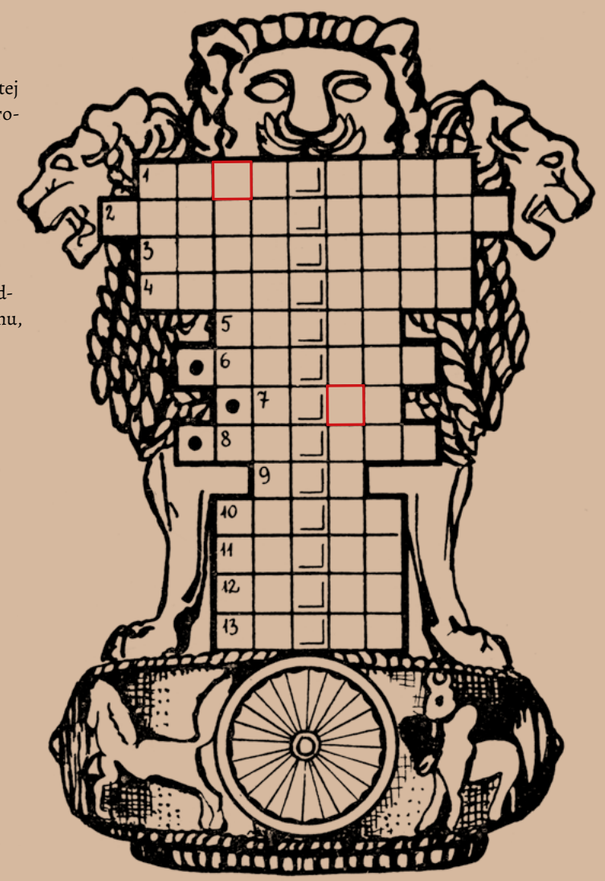

Logogryf pochodzi z „Topografigli" – zbioru łamigłówek publikowanych w „Kontynentach" w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. Zostały one pogrupowane w następujące części: „Transgraniki", „Azjanse", „Afrykasy" oraz „Amerykanty". Książka ukaże się już we wrześniu nakładem Oficyny Wydawniczej Kontynenty.

Wydawnictwo
Czarne
opowiada nam
o świecie
już od 25 lat.
Dziękujemy!

KONTYNENTY

Modlitwa pędzlem

Tekst i zdjęcia: Magdalena Rittenhouse

***Yukkuri... yukkuri* – jedyna wskazówka, jakiej udziela mi dzisiejszego ranka Yotsumoto Yoshiro san. *Powoli*. A ja chciałabym szybciej!**

Magdalena Rittenhouse
Pisarka, dziennikarka

Od kilkunastu minut pocieram sztabką sprasowanej sadzy o dno płaskiego kamiennego naczynia. Tak zaczyna się każda nasza lekcja kaligrafii – od przygotowania tuszu. Czarny proszek mieszam z paroma kroplami wody. Proszku musi być tyle, by tusz zrobił się odpowiednio gęsty i błyszczący. Mój cały czas jest zbyt przezroczysty, więc trę dalej, choć czas dłuży się niemiłosiernie i strasznie bym już chciała zacząć malować. Powolne, jednostajne ruchy. Cisza (dobrej jakości sadza zamienia się w pył bezszelestnie). I poczucie, że nic się nie dzieje. Yukkuri, yukkuri…

Drętwieją mi nogi. Klęczymy na matach tatami, przy niskim drewnianym stole. Próbuję siedzieć w pozycji medytacyjnej, tak jak to czynią japońscy kaligrafowie, opierając uda na piętach, ale po zaledwie kilku minutach moje kolana zaczynają się buntować. Yotsumoto san zdaje się nie zauważać, że wiercę się pod tym stołem nieustannie. Nie mówi ani słowa, ale i bez tego wiem, że nie powinnam. Kaligrafia wymaga skupienia i spokoju. Elegancji. Podczas pracy oddech powinien być głęboki i stabilny; sylwetka wyprostowana, ruchy pewne i płynne.

Każde pociągnięcie pędzla odzwierciedla ducha osoby, która maluje. Żadnego nie da się powtórzyć, tak jak żadnej chwili nie da się przeżyć dwukrotnie. „W linii niczego nie da się ukryć. Będziesz obecny w tym, co namalujesz. Pozostaniesz tam, nawet gdy odejdziesz" – poucza współczesny kaligraf, malarz i myśliciel Kazuaki Tanahashi. To od lektury jego esejów o „drodze pędzla" rozpoczęła się moja przygoda z kaligrafią. „Kiedy linia żyje, czujesz w niej zarówno oddech artysty, jak i oddech pędzla". Chciałam poczuć te oddechy.

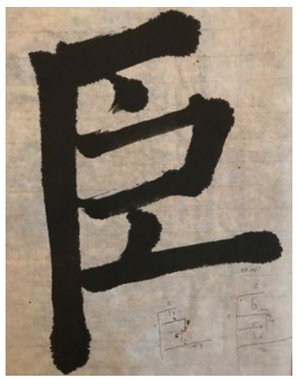

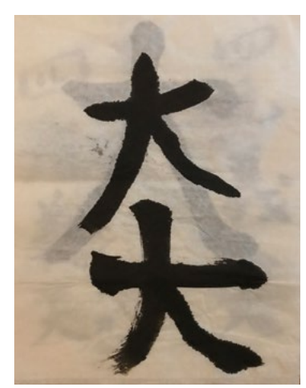

Alfabet Hanów

Od czego zacząć? Od początku! Czyli chyba od alfabetu? Japończycy posługują się trzema. Dwa z nich – hiragana i katakana – to stosunkowo proste sylabariusze, z których każdy zawiera 46 symboli. Trzecim jest kanji, w dosłownym tłumaczeniu „litery Hanów". Powstał blisko trzy tysiące lat temu w Chinach, wywodzi się z pisma obrazkowego i obejmuje kilkadziesiąt tysięcy ideogramów – znaków graficznych symbolizujących słowa, a czasem nawet całe wyrażenia.

Na przestrzeni wieków w większości języków świata tego typu alfabety przekształciły się w prostsze, „wydajniejsze" systemy fonetyczne, w których litery przypisywane są dźwiękom i nie mają nic wspólnego ze znaczeniem danego wyrazu. To dlatego, w językach europejskich, indyjskich czy arabskich do zaspokojenia większości semantycznych potrzeb wystarcza 20-30 znaków. Alfabet chiński, jakkolwiek ewoluował, nigdy nie uległ takiej metamorfozie. Znaki, które w pierwszych wiekach naszej ery, wraz z sutrami, zaczęli przenosić do sąsiadów buddyjscy mnisi, nie różniły się dramatycznie od tych, które znamy z kości wróżebnych. Ideogramami do dziś posługuje się około miliarda Azjatów.

Do Japonii alfabet Hanów zaczął przenikać w IV wieku naszej ery. Raczej powoli i nie bez przeszkód, bo mimo geograficznego sąsiedztwa, japoński wywodzi się z zupełnie innej grupy językowej niż używane w Chinach dialekty. Ma odmienną morfologię i składnię. Próbując dostosować zaimportowany produkt do własnych potrzeb, Japończycy korzystali ze znaków kanji w sposób „fonetyczny" – przyporządkowując rodzimym wyrazom dźwięki poszczególnych ideogramów, nie zaś ich znaczenia. System był uciążliwy, tym bardziej, że ideogramy nie nadawały się do tworzenia końcówek fleksyjnych, bez których japoński nie może się obyć. Z tego m.in. powodu, w dziewiątym wieku, w Japonii pojawiły się wspomniane wyżej sylabariusze kana. Miały stanowić uzupełnienie, coś w rodzaju wyjścia awaryjnego, dla alfabetu kanji. Pierwszy z tych sylabariuszy, zwany hiraganą, wykorzystywany jest do zapisywania końcówek gramatycznych oraz wyrazów rodzimego pochodzenia i tych przejętych od Chińczyków; drugi, katakana, do zapożyczeń wyrazów obcych. Rezultat – pomieszanie języków, a w każdym razie alfabetów: w japońskich tekstach do dziś pojawiają się wszystkie trzy rodzaje znaków, jeden obok drugiego, w pojedynczym zdaniu! Na domiar złego bywa, że ten sam znak ma różne wymowy i znaczenia. I nie ma zbyt wielu reguł czy zasad, które ułatwiałyby naukę.

Współczesne japońskie słowniki zawierają około 50 tys. kanji. Składają się najczęściej z kilku, czasem nawet kilkunastu elementów, które na papier (lub ekran) nanosić należy w odpowiednim kierunku i w ściśle określonej kolejności.

Od początku zatem wiedziałam, że porywam się z motyką na słońce. Zaczęłam, jak każdy nowicjusz, od sylabariuszy kana. Są ponoć proste. Uczą się ich małe dzieci! Proste? Przez długie tygodnie myliłam „ma" z „o"; „e" i „a" kulały; a „ho", „nu" i „su" w ogóle nie mogłam zapamiętać! Gambare! – powtarzają w trudnych sytuacjach Japończycy, czyli „daj z siebie wszystko". Ćwiczyłam zatem, przepisując, powtarzając, sprawdzając i raz po raz powtarzając w myślach Gambare! Po kilku jednak miesiącach – właśnie, gdy zaczęło mi się wydawać, że zapanowałam już chyba nad tą setką samogłosek i sylab – przyszedł najtrudniejszy moment. Gambare przestało działać. Dlaczego? Bo stało się jasne, że bez znajomości kanji nawet najprostsze teksty nadal są poza moim zasięgiem. Nie pomogą jakiekolwiek zaklęcia! Po tylu godzinach zmagań i ćwiczeń… Czułam się oszukana.

Gambare!

Ile może trwać nauka pisania? Japończycy zaczynają w przedszkolu od hiragany i katakany. W pierwszej klasie szkoły podstawowej sześciolatki przystępują do ćwiczenia liter kanji. Zanim rozpoczną gimnazjum, muszą przyswoić sobie 1006 znaków. Tyle w każdym razie zawiera publikowana przez ministerstwo edukacji lista kyōiku kanji (教育漢字), coś w rodzaju obowiązkowej listy lektur. Nie inaczej będzie w gimnazjum i liceum: kolejnych 1130 „obowiązkowych" znaków. W sumie zatem od absolwenta szkoły średniej oczekuje się znajomości ponad dwóch tysięcy kanji. Tyle właśnie wystarcza ponoć, by przeczytać tekst w codziennej gazecie lub średnio skomplikowaną książkę. Podczas studiów ci, którzy wybiorą kierunki humanistyczne, prawdopodobnie przyswoją jeszcze dalszych kilka tysięcy. Inżynierowie i specjaliści od księgowości, którzy zajmą się logarytmami, melioracją albo zagadnieniami współczesnej awiacji, pewnie już nie – nie będą mieli zbyt dużo czasu na literaturę, a już tym bardziej kaligrafię. Ba – niektórzy zapomną pewnie część znaków, których wyuczyli się wcześniej.

Ile razy trzeba przepisać składający się z kilkunastu elementów ideogram, zanim zapadnie w pamięć? Przestanie się mylić z innym, bardzo podobnym? Jak mocno trzeba się skupić, jak bardzo starać? Ile poświęcić na to godzin?

Niewyobrażalnie dużo. Tak w każdym razie wydaje się nam, ludziom wychowanym w kulturze Zachodu: ceniącym wydajność, wzdragającym się przed nudą, unikającym powtarzalności. A japońscy uczniowie? Raczej nie znajdują czasu, by się nad tym zastanawiać. Mają do opanowania 2136 znaków. Zadanie na dwanaście lat. Trzy lub cztery nowe symbole tygodniowo. Gambare!

Zdawszy ostatni „alfabetyczny" egzamin, młodzi Japończycy opuszczają szkołę z takim a nie innym bagażem doświadczeń. Przez resztę życia będą czuć się bezpiecznie, mogąc korzystać z szablonów i sprawdzonych rozwiązań. Zostali przyzwyczajeni do przestrzegania szczegółowych instrukcji. Boją się ryzyka, stronią od eksperymentów; unikają dyskusji. Nie zadają kłopotliwych pytań. Kiedy robi to ktoś inny, udają, że nie słyszą. Nie mają nawyku poddawania w wątpliwość czegokolwiek, co wszyscy dookoła uznają za pewnik. Nauczyli się za to dokładności. Dostrzegają niuanse, zwracają uwagę na szczegóły. Są sumienni i skrupulatni. Cierpliwi. Wytrwali. I nie, nie wydaje im się, by w kopiowaniu było cokolwiek zdrożnego, zasługującego na pogardę. Wręcz przeciwnie – kontynuują coś, co przed nimi robili już inni. Z szacunkiem i pokorą. Najlepiej jak potrafią. To przyczynia się do ogólnej harmonii. Kopiują i są z tego dumni.

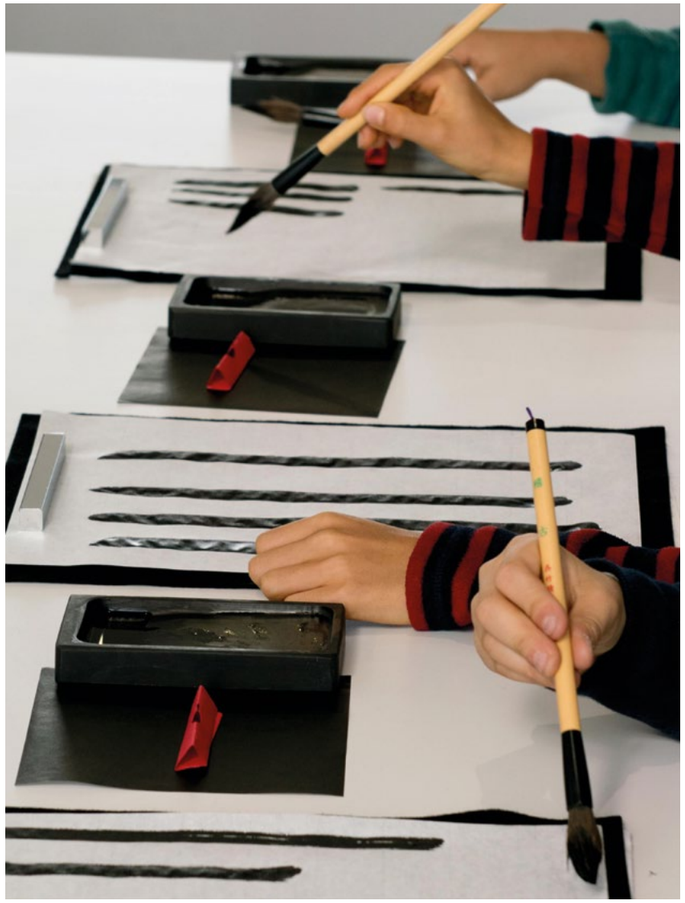

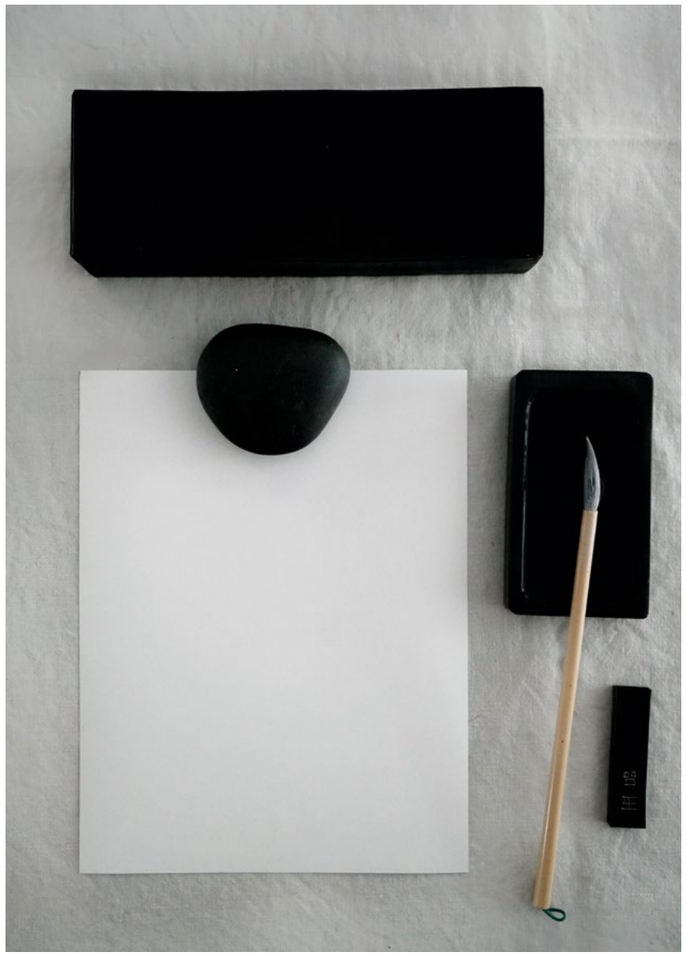

Cztery skarby gabinetu

Podstawowe przybory: pędzel, kamienny kałamarz, tusz i papier. Starożytni Chińczycy nazywali je czterema skarbami gabinetu. Stanowiły niezbędne wyposażenie ludzi wykształconych. Wraz z malarstwem, znajomością poezji i grą go (chiński odpowiednik szachów), kaligrafię zaliczano do „czterech doskonałości" – człowiek, który chciał zasługiwać na szacunek i uznanie, musiał je doprowadzić do perfekcji.

W kaligrafii chodziło jednak o znacznie więcej niż ładny kształt liter. W kulturach Dalekiego Wschodu pismo od zarania wieków otaczano szacunkiem. Służyło nie tylko do komunikacji między ludźmi, ale także do nawiązywania kontaktów ze zmarłymi przodkami i bóstwami. Pierwsze znane nam tego przykłady to inskrypcje wróżebne na kościach zwierząt. Około tysiąca ośmiuset lat przed naszą erą – blisko dwa milenia przed pojawieniem się papieru – chińscy mędrcy nanosili dotyczące przyszłości pytania na skorupy żółwi. Opatrzone imieniem i datą napisy wypalano potem w ogniu, a pęknięcia, które się pojawiały, interpretowano jako odpowiedź, przepowiednie.

Znaleziska archeologiczne wskazują, że przed wykonaniem inskrypcji wróżebnych na wrzucanych do ognia skorupach, skrybowie ćwiczyli i doskonalili kompozycje na tabliczkach z piaskiem. Zwracano uwagę na kierunek kresek, grubość linii, proporcje i odstępy.

Starożytni Chińczycy do pisania używali również kamieni, kory i bambusowych deszczułek. Nanoszone dłutem na twardy materiał znaki musiały być proste; składały się głównie z kresek i kwadratów. Z czasem pojawiły się też pędzelki, wykonywane z włosia zwierząt oraz jedwab, prekursor papieru. Ta delikatna tkanina również jednak wymuszała ascetyczne formy – wszelkie zaokrąglenia sprawiały, że materiał się marszczył. Chińskie litery pozostały więc proste i kanciaste, nawet potem, gdy kaligrafowie zaczęli używać tuszu i papieru.

Ten ostatni pojawił się najprawdopodobniej w 105 roku, za sprawą dworskiego kancelisty o imieniu Cai Lun. Wydarzenie uważa się za przełomowe: pojawienie się lekkiego materiału, który doskonale nadawał się do tego, by go przenosić czy przechowywać, przyczyniło się do rozkwitu chińskiej kaligrafii. W uznaniu zasług ówczesny cesarz mianował swego kancelistę ministrem (przyznano mu tekę rolnictwa).

Kilka wieków później, za czasów dynastii Tang, umiejętność eleganckiego pisania stała się niezbędnym warunkiem przyjęcia na służbę państwową, nawet na znacznie niższym szczeblu. Chińczycy wierzyli, że charakter pisma pozwala ocenić charakter człowieka. Kandydaci na urzędników musieli wiec zdawać egzaminy z kaligrafii nie tylko po to, by przekonać potencjalnych mocodawców, że będą umieli starannie kopiować dokumenty wagi państwowej, ale przede wszystkim, by zademonstrować, że są uczciwi, solidni i zasługują na zaufanie.

Wspaniałe znaki

„Przed przystąpieniem do pisania należy przegnać z głowy wszelkie smutne myśli. Trzeba być w dobrym nastroju i czuć się swobodnym" – instruował adeptów kaligrafii w drugim wieku naszej ery rozmiłowany w tej sztuce chiński astronom, historyk, matematyk, muzyk i poeta Cai Yong. „Gdy umysł jest czymś zajęty, nie można dobrze pisać, nawet posługując się najlepszymi pędzelkami. Gdy umysł jest wypoczęty, ruch pędzelka jest swobodny i w ten sposób uzyskuje się wspaniałe znaki".

Nie, nie byłam w dobrym nastroju i zdecydowanie nie czułam się swobodnie, udając się na pierwszą lekcję kaligrafii. Z pewnością nie wierzyłam, że kiedykolwiek uda mi się „uzyskać wspaniałe znaki". Owszem, wybrałam się wcześniej do sklepu z pędzelkami. Ba, odwiedziłam nawet muzeum pędzli w średniowiecznej stolicy Japonii, Narze. Najprawdopodobniej do tego właśnie miasta, w IV wieku naszej ery, dotarli z Chin i Korei pierwsi skrybowie. Nara do dziś słynie z produkcji najwyżej jakości przyborów kaligraficznych, miałam więc okazję przypatrzeć się pędzelkom twardym i miękkim, wykonanym z włosia łasic, wiewiórek, myszy, świń albo kóz; z końcówką w kształcie stożka, albo z włosami ściętymi pod kątem; z rączkami z bambusa, drzewa sandałowego, a nawet kości słoniowej.

Porównywałam też najrozmaitsze rodzaje papieru – od grubych, ciężkich i chropowatych, po najbardziej gładkie i cienkie, czasem niemal przezroczyste. Do sklepów z przyborami do pisania – notesami, kredkami, farbami czy wiecznymi piórami miałam słabość od dziecka. Japonia jest krajem, w którym po dziś dzień papier jest często wyrabiany ręcznie. Ci, którzy się tym zajmują, bywa że od pokoleń, nazywani są artystami (najwybitniejszym, cesarze przyznają tytuł „Żywego Skarbu Narodowego"). W Tokio jeden z moich ulubionych sklepów z papierem zajmuje trzy kondygnacje! Potrafiłam w nim spędzić godzinę lub dwie, zapominając o bożym świecie.

W jakimś zatem stopniu kaligrafia pociągała mnie ze względu na perspektywę tych wszystkich zmysłowych przyjemności. Cieszyłam się myślą, że będę rozpościerać cienki arkusz papieru na filcowej podkładce, wygładzać go i wyrównywać, przyciskać ciężarkiem, a potem brać do ręki pędzel, prowadzić go po białej powierzchni i patrzeć, jak między włókna wsiąka powoli tusz.

Ale czy to są dobre powody? Jadąc na pierwszą lekcję, miałam poważne wątpliwości. Niedawne alfabetyczne porażki nie dodawały mi pewności siebie. Czy ma sens nauka kaligrafowania, skoro nie znam liter? Yotsumoto san, który zgodził się zostać moim nauczycielem, twierdził, że nie musi to być przeszkodą. Wszak nie o same litery chodzi w kaligrafii.

Lekcje mieliśmy odbywać w świątyni Engakuji w Kamakurze. To jedno z najstarszych i najważniejszych sanktuariów Zen w Japonii. Yotsumoto san, syn mnicha, mieszkał i wychował się tu, wśród skalnych ogrodów i skrzypiących werand. Choć sam nie poszedł w ślady ojca – studiował w szkole biznesu i przez większą część życia pracował w Tokio – do świątyni nadal często powraca. Oprócz kaligrafii uprawia tu także łucznictwo. Obie dyscypliny, zaliczane do sztuk Zen, uważane są w Japonii za formę medytacji.

Yotsumoto san twierdzi, że systematyczny trening to coś w rodzaju siłowni dla umysłu – pozwala utrzymać go w formie. Strzelanie z łuku zmusza go do uważności. Nie inaczej jest z kaligrafią – najważniejsza jest precyzja i skupienie. No i nie wolno się spieszyć!

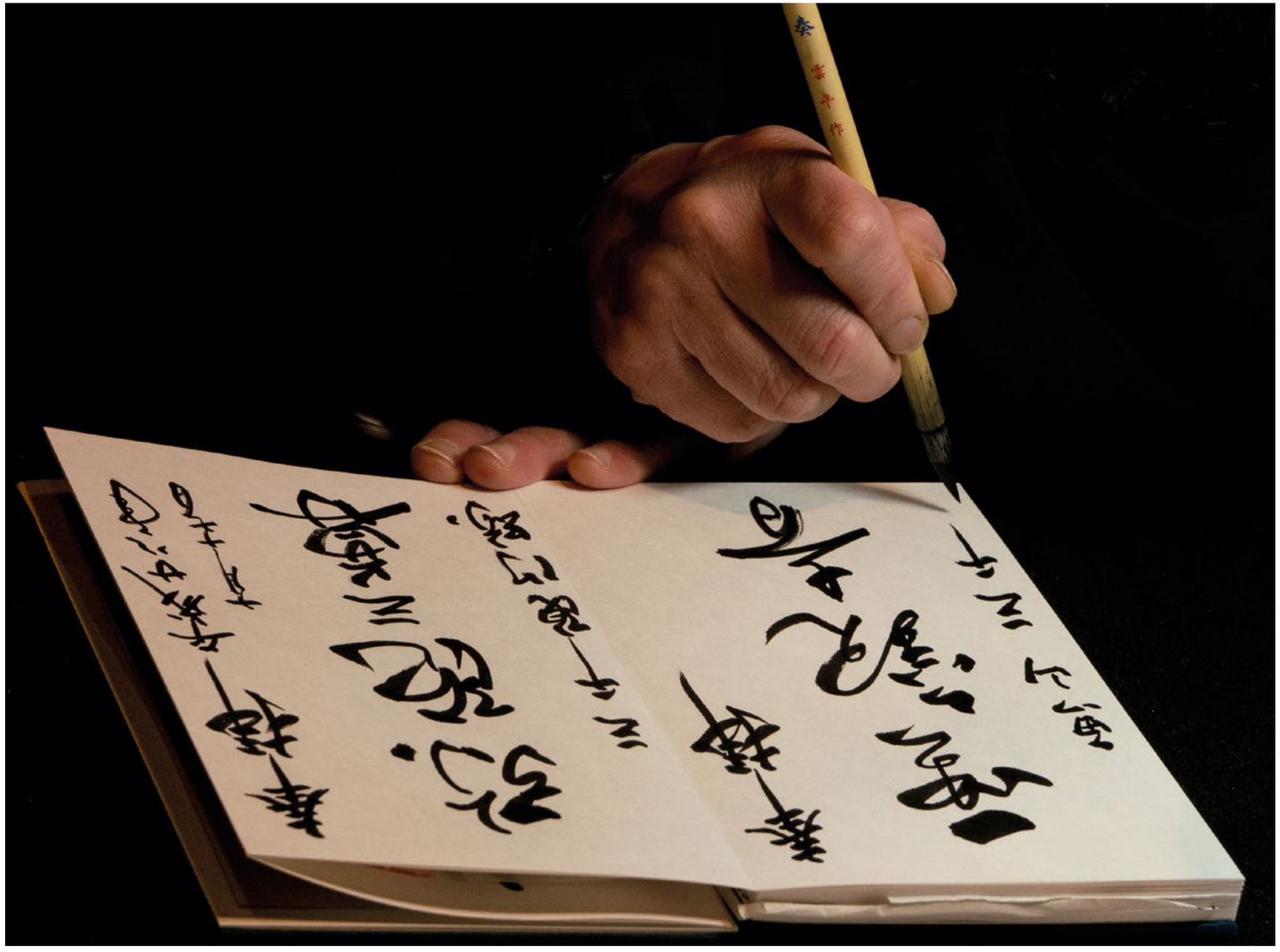

Ścieżka życia

„Kaligrafia nie jest sztuką polegającą na realizowaniu zamierzeń" – pociesza takich jak ja, niepewnych początkujących, Kazuaki Tanahashi. „To raczej ścieżka prowadząca do głębszego życia".

Do głębszego życia i do głębszych oddechów! Czyż nie o tym myślałam, zabierając się za naukę hiragany i próbując oswajać pierwsze znaki kanji? Słucham nagrania znalezionego na stronie internetowej mistrza, przeglądając w tym czasie bibułki z własnymi kaligraficznymi próbami z ostatnich tygodni. „Postępy może nie będą tak szybkie, jak byś sobie życzył" – ciągnie Tanahashi. Dzielą nas tysiące mil, a ja odnoszę wrażenie, że siedzi tuż obok i widzi wszystkie moje koślawe litery. „Na początku linie, które malujesz, będą pewnie pozbawione wdzięku i mogą wyglądać niezgrabnie, ale z czasem nabierzesz wprawy i płynności. Ilekroć ćwiczysz, czegoś się uczysz. Twoje oczy przyzwyczajają się do coraz uważniejszego patrzenia, ręce do bardziej eleganckich ruchów".

Na razie moje ręce (a od czasu do czasu również koszule) nieustannie poplamione są tuszem. Z uważnym patrzeniem nie jest lepiej. Bywa, że cały ranek – dobrych kilka godzin – spędzam na kaligrafowaniu pojedynczej litery. Litera niezmiennie jest koślawa, ma fatalne proporcje, a ja, owszem, dostrzegam, że pozbawiona jest wdzięku, ale nijak nie potrafię zmalować lepszej. Gorzej – kilka dni później mylę ją z zupełnie innym znakiem kanji. Więc nawet nie udało mi się jej zapamiętać! Zżymam się na siebie, złorzeczę i niecierpliwie, bo oczywiście chciałabym lepiej i szybciej. Ale może tak powinno być – koślawo, niedoskonale, ślamazarnie? Yukkuri, yukkuri… Może to właśnie, w tym akurat momencie, właściwa dla mnie ścieżka?

„Gdy ktoś pyta mnie, od jak dawna uczę się kaligrafii, odpowiadam, że od osiemnastu… stuleci! Iluż kaligrafów przed nami oddawało się sztuce, która rozkwitła ponad tysiąc lat temu" – mówi Tanahashi. I wyjaśnia, że w kulturze Wschodu akt kopiowania ma szczególny wymiar. „Jeśli rozstawiasz w muzeum sztalugi z zamiarem sporządzenia kopii obrazu zachodniego artysty, starasz się jak najdokładniej odtworzyć kompozycje, kształty, kolory, fakturę. Chcesz stworzyć obraz jak najbliższy oryginałowi. Jeśli zaś próbujesz odtworzyć orientalne dzieło sztuki, zależy ci, by powtórzyć proces – tak samo stać, trzymać pędzel, nanosić kolejne smugi w tej samej kolejności, z podobną siłą przyciskać do papieru, żeby ten pędzel tak samo wędrował w powietrzu. Starasz się tak samo oddychać, tak samo czuć, tak samo myśleć".

Jesień: drzewo i ogień

Podczas naszych lekcji Yotsumoto san nie udziela mi właściwie żadnych instrukcji. Mówi niewiele albo prawie wcale. Owszem, dzieli nas bariera językowa (jego angielski jest równie słaby jak mój japoński), ale nie to chyba jest prawdziwą przyczyną tej powściągliwości. Japońscy nauczyciele i mistrzowie Zen z reguły nie mówią dużo. Unikają wykładów, nie wygłaszaja kazań. Rzadko cokolwiek wyjaśniają. Uczeń obserwuje swojego przewodnika i opiekuna, starając się go naśladować. Ma za zadanie opanować technikę, zanurzając się w niej niejako – czując raczej niż rozumiejąc cokolwiek.

Kaligrafujemy w niewielkim drewnianym pomieszczeniu, tuż obok ołtarza Buddy, przed którym co rano recytowane są przepisywane ręcznie od setek lat sutry. Przez sięgające od podłogi po sufit okno spoglądam raz po raz na pogrążony w ciszy ogród. Cienkie listewki, pojedyncza szyba… właściwie prawie tego okna nie ma. Jak często bywa w Japonii, granice między tym, co wewnątrz, a tym, co na zewnątrz są płynne, ledwie dostrzegalne. Latem panuje tu niemiłosierny upał, zimą trudno jest czasem utrzymać pędzel, bo od chłodu drętwieją ręce.

Teraz, wraz z początkiem listopada, między wierzchołkami strzelistych dachów Engakuji zaczynają się czerwienić japońskie klony, momiji. Mieszkańcy wysp mają do nich szczególną słabość; jesienią, gdy zmieniają kolor, a potem gubią drobne listki, wzbudzają nie mniejszy zachwyt niż rozkwitające wiosną kwiaty wiśni.

Mała gałązka momiji cieszy i mnie podczas kaligrafowania – jest jednym z trzech elementów ikebany umieszczonej w niewielkiej wnęce naszego pokoju. W tradycyjnych japońskich domach wnęka taka, zwana tokonomą, służy do eksponowania jakiegoś pięknego przedmiotu – ikebany, czasem ceramiki. Zawiesza się w niej także adekwatne dla danej pory roku czy okoliczności kaligrafie. Te ostatnie traktowane są przez Japończyków jako dzieła sztuki, dorównujące malarstwu, a może nawet bardziej wartościowe. Kolekcjonują ją, pieczołowicie przechowują. Właściwie są przecież malarstwem?

Przyglądam się czerwonym listkom, ćwicząc kanji, które na dzisiejszą lekcję wybrał mój nauczyciel: 秋 – aki, czyli jesień. Dziewięć pociągnięć pędzla – znak, którego uczą się uczniowie w drugiej klasie szkoły podstawowej; pierwszy człon oznacza drzewo o wielu gałęziach, drugi ogień. Kopiuję go przez ponad godzinę, kilkanaście razy, ale nie jestem zadowolona z rezultatów. Moje linie wciąż są niepewne, pozbawione elegancji. Yotsumoto nie mówi ani słowa. Ja mimo wszystko staram się spokojnie oddychać.

❑

Ainu znaczy ludzie

Lucjan Buchalik

„Na wschodniej granicy ziem japońskich leży wielkie pasmo gór, za którymi rozciąga się kraina Włochatych Ludzi”

Byli ludnością autochtoniczną, zamieszkującą odwiecznie północne tereny wysp Honsiu, Hokkaido (Japonia), Sachalin, Wyspy Kurylskie i południowe krańce Kamczatki (Federacja Rosyjska). Od mongoloidalnych sąsiadów różnił ich nieorientalny wygląd, szczególnie bujne owłosienie. Posługiwali się własnym językiem, niespokrewnionym z żadnym innym, posiadającym 19 dialektów. Współcześnie największe skupiska Ajnów istnieją jeszcze na Hokkaido, jednym z nich jest gmina Biratori.

Ajnowie prowadzili gospodarkę zbieracko-łowiecką, trudnili się handlem z kupcami japońskimi. Pierwsze wzmianki o nich pochodzą z VII-VIII wieku. W zapiskach dotyczących walk na Ezo (dawna nazwa Hokkaido) można przeczytać, że „na wschodniej granicy ziem japońskich leży wielkie pasmo gór, za którymi rozciąga się kraina Włochatych Ludzi”. Do XVI wieku Ajnowie byli niemal wyłącznymi mieszkańcami Ezo. Jednakże napór japońskich osadników skutkował coraz ostrzejszymi zatargami i konfliktami. W efekcie przegranych wojen Ajnowie byli zmuszani do ciężkiej pracy na rzecz nowych panów.

Na przełomie XIX i XX wieku Ajnowie budzili zainteresowanie przede wszystkim antropologów. Widziano w nich reprezentację człowieka epoki kamienia. W tym czasie na Hokkaido Japończycy zmarginalizowali i zdominowali Ajnów, a po 1945 roku Rosjanie prawie całkowicie wysiedlili ich z Sachalinu i Wysp Kurylskich.

W XIX wieku także pojawia się polski wątek w dziejach Ajnów. W 1887 roku Bronisław Piłsudski – podobnie jak jego brat Józef działacz niepodległościowy – po dekonspiracji spisku na życie cara Aleksandra III, w którym brał udział, został skazany na 15 lat katorgi i zesłany na Sachalin. Tam zajął się badaniami kultury rdzennych społeczności Ajnów, Gilaków, Oroków. W 1903 roku wraz z Wacławem Sieroszewskim udał się na sąsiednie japońskie Hokkaido, aby prowadzić badania etnograficzne wśród tamtejszych Ajnów. Po wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej udało mu się wyjechać do Stanów Zjednoczonych, a stamtąd w 1906 roku wrócić do kraju. W świecie nauki znany jest ze swoich opracowań etnograficznych, językowych, a także – co w owym czasie było czymś zupełnie wyjątkowym – nagrań dźwiękowych prowadzonych na Sachalinie, jedynych w języku Ajnów z przełomu XIX i XX wieku. W trakcie pobytu we wschodniej Azji wykonał także ok. 300 zdjęć rdzennych mieszkańców. Zgromadził też kolekcje etnograficzne, które można podziwiać między innymi w petersburskiej Kunstkamerze. Ożenił się z Ajnuską z Sachalinu, a jego potomkowie do dzisiaj żyją w Japonii.

Badania nad kulturą i pochodzeniem Ajnów prowadziło wielu naukowców. Z przyczyn geograficznych najwięcej było Rosjan i Japończyków. Na wyróżnienie zasługują również dwaj Brytyjczycy: misjonarz, niewątpliwy autorytet w sprawach Ajnów John Batchelor oraz lekarz i antropolog Neil Gordon Munro.

Największe zasługi na polu przywracania pamięci o Ajnach położył w II połowie XX wieku Shigeru Kayano (1926-2006), społecznik i polityk, który doprowadził do renesansu kultury ajnuskiej. W 1972 roku dzięki jego staraniom utworzono Muzeum Kultury Ajnów w Nibutani (gmina Biratori). Mimo początkowego oporu władz japońskich doprowadził także do powstania 15 szkół nauki języka ajnuskiego. Jako parlamentarzysta w latach 1994–1998 zasłynął z tego, że często w czasie sesji Zgromadzenia Narodowego mówił w języku ajnuskim, co wprawiało w konsternację jego japońskich kolegów. Jak zauważa prof. Alfred Majewicz, Kayano zmusił Japończyków do zmiany stosunku do społeczności Ajnów i ich kultury. To dzięki jego zaangażowaniu w 1997 roku parlament japoński uchwalił ustawę chroniącą i promującą kulturę Ajnów, której artykuł pierwszy mówi, że „społeczeństwo powinno respektować fakt, iż ludzie Ajnu mogą być dumni z tego, że są mniejszością etniczną oraz należy być wdzięcznym za to, że rozwijają oni różnorodność kulturową w naszym kraju”.

Dr Lucjan Buchalik
Etnolog afrykanista, absolwent UWr (1986), stopień doktora na UAM w Poznaniu (2008). Prowadzi badania etnologiczne w Afryce Zachodniej (od 1985) dotyczące pokrewieństwa żartów, antropologii turystyki oraz procesu przemian tradycyjnych kultur. Dyrektor Muzeum Miejskiego w Żorach. Stworzył od podstaw etnograficzną kolekcję śląską, zachodnioafrykańską, ajnuską, jakucką, buriacką, melanezyjską

↘

Korona *sapa-un-pe*

Nakrycie głowy *sapa-un-pe* noszone jest przez mężczyzn ajnuskich podczas ważnych ceremonii, takich jak np. *i-o-mante* („odsyłanie niedźwiedzi"). Obiekt wykonany jest ze zwiniętych spiralnych wiórów drewnianych, często z dołączoną z przodu drewnianą figurką niedźwiedzia. W Nibutani można spotkać również figurki przedstawiające lisa i orła. Końce niesplecionych wiórów wiązane są z tyłu głowy, tak aby rozmiar odpowiadał osobie noszącej. Niektóre *sapa-un-pe* mają doczepione skrawki materiałów w kolorze granatowym i czerwonym, zwanych *santa-sarampe*. W Nibutani stare korony *inaw* były palone i zastępowane nowymi, ale w pobliskim Mitsuishi nie było takiego zwyczaju i nowe wióry były wplatane w stare, co pogrubiało i zagęszczało nakrycie głowy.

Noszenie *sapa-un-pe* było nobilitujące, nosząc je na głowie, nie można było swoim zachowaniem skalać owej korony. Nie wolno się wdawać w kłótnie i bójki. Była też oznaką przynależności do Ajnów.

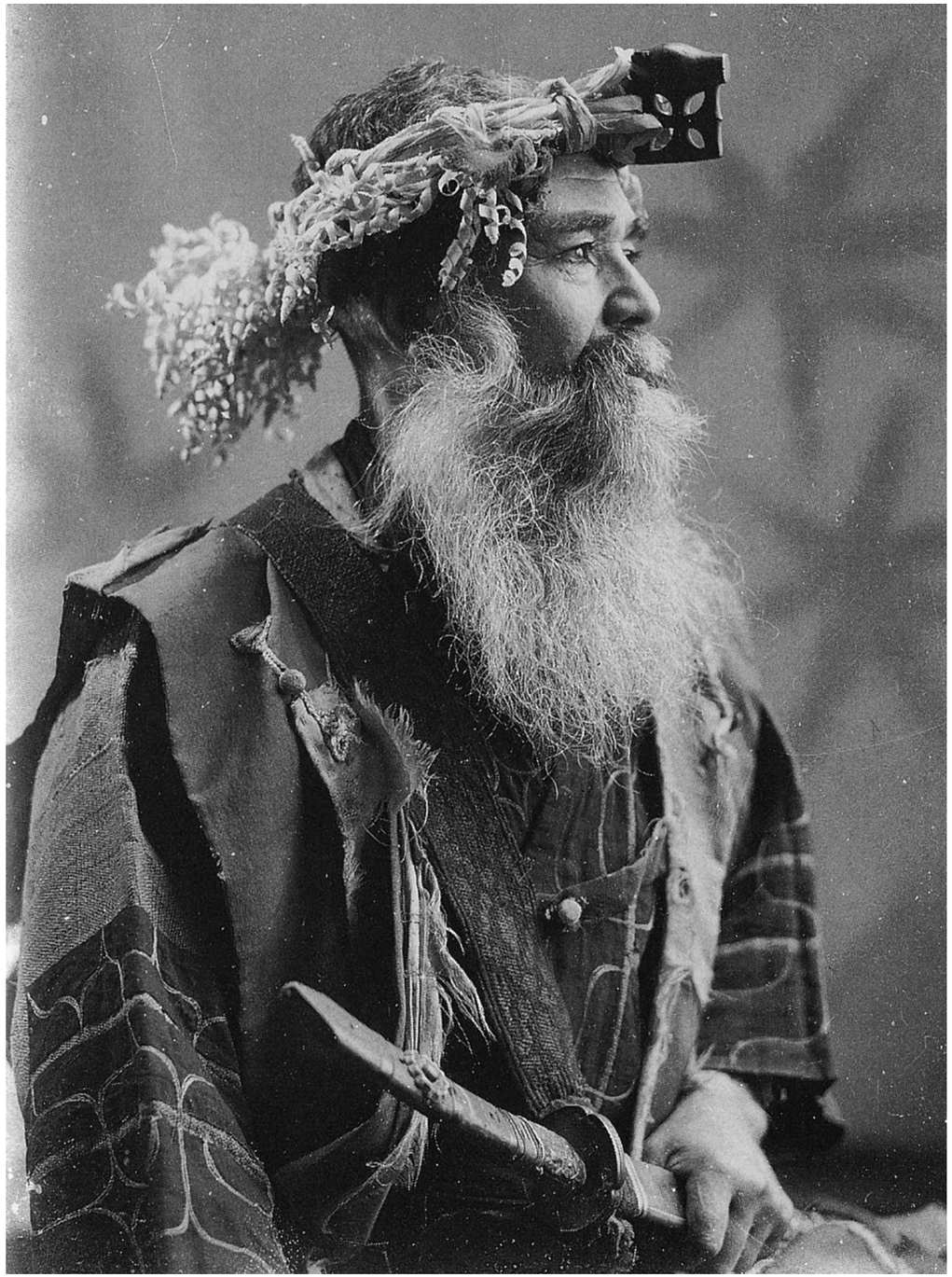

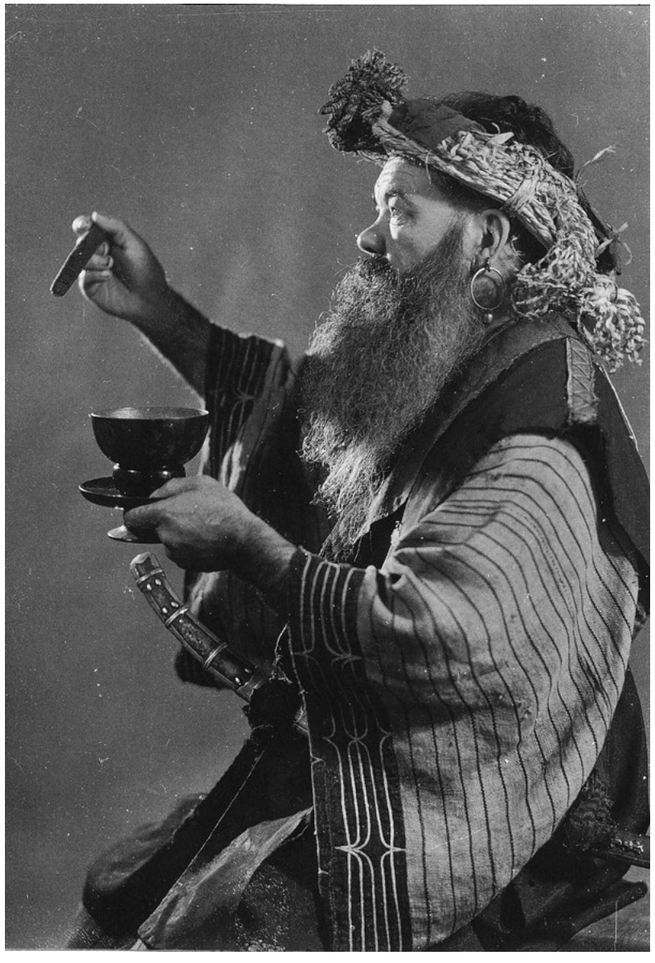

Iku-pasuy – szpatułka orędująca u bogów

Przed rozpoczęciem uczty należy złożyć ofiarę bóstwom. W tym celu mężczyzna macza w czarce (*tuki*) szpatułkę (*iku-pasuy*) i kilka kropel strąca na ziemię.

Iku-pasuy to rzeźbiony podłużny kawałek drewna – szpatułka zdobiona figurkami niedźwiedzia – używany do ofiarowania sake bogom. Wierzono, że jest to pewien rodzaj łącznika pomiędzy światem bogów i ludzi. Ajnowie twierdzili, że język ludzki nie jest doskonały, dlatego powierzali *iku-pasuy* ważny obowiązek właściwego przekazania modlitw i próśb do królestwa bogów. Wierzono, że jest to przedmiot żyjący, mający duszę. Podczas ceremonii „język" *iku-pasuy* (zaostrzony koniec) zamacza się w czarce z sake, a następnie skrapia ognisko oraz inne przedmioty kultu, wypowiadając słowa modlitwy lub prośby. Ważne jest, aby podczas modlitw czarkę zawsze trzymać w lewej ręce, a *pasuy* w prawej.

Tuki – czarka z rodowodem

Termin *tuki* to ogólna nazwa czarki, precyzyjnych nazw używa się w zależności od formy i przeznaczenia: *maranto-tuki* (czarka boga niedźwiedzia), *nisew-tuki* (mała czarka), *isepo-tuki* (gruba czarka), *kapar-pe-tuki* (cienka czarka) i *kane-pe-us-tuki* („lakierowana czarka do *sake* zdobiona plamkami złota"). *Kapar-pe-tuki* jest drewnianą czarką (czasami lakierowana) ze spodkiem, odgrywająca istotną rolę w kulturze Ajnów. Wraz ze szpatułką *iku-pasuy* była używana podczas składania ofiary z sake bogom najwyższej rangi. Ajnowie wierzyli, że to najlepsza czarka do podawania sake. Naczynie to było jednym z ważniejszych towarów wymiany handlowej pomiędzy Ajnami i Japończykami. Ajnowie wykonywali drewniane czarki i przekazywali je Japończykom do lakierowania. Zdarzały się zakłócenia (spowodowane burzliwą historią obu ludów) w wymianie handlowej, dlatego w użyciu funkcjonowały także nielakierowane naczynia. Do dziś *kapar-pe-tuki* jest wykorzystywane podczas tradycyjnych ceremonii ajnuskich, które aktualnie przeżywają swój renesans.

Czarki miały szerokie zastosowanie: pito z nich sake (również z ich pokrywek), jedzono zupy i kasze. Na przykład po mięsnym lub rybnym bulionie Ajnowie jedli kaszę. Zadziwiające jest, jak wysoko Ajnowie cenili owe czarki. Według danych Bronisława Piłsudskiego każde japońskie naczynie (włączając w to czarki) posiadało genealogię, którą Ajnowie znali i przekazywali następnym pokoleniom. Bez lakierowanych czarek nie obeszło się żadne świąteczne spotkanie. Jeśli podczas *i-o-mante* brakowało czarek dla gości, to pożyczano u sąsiadów (nawet ze wszystkich zagród w wiosce). Każdy właściciel zaznaczał swoje naczynie rytym znakiem na dnie z przedniej strony, żeby później łatwiej było zwrócić pożyczony przedmiot i uniknąć nieporozumień.

Inaw – ołtarz z kijów modlitewnych

Odwiedzający Ajnów na przełomie XIX i XX wieku podkreślali, że mają oni wiele bóstw i dlatego często składają ofiary. Ze składaniem ofiar łączone były szpatułki *iku-pasuy* i kije modlitewne *inaw*. Grupy *inaw* różnych wielkości i kształtów, znajdujące się na terenie zagrody, tworzyły ołtarze *nusa*. Wyjątkowo można je było spotkać również na plażach, dedykowane były bóstwom morza. Uważa się, że *inaw*, podobnie jak szpatułka *iku-pasuy*, były wizerunkami ptaków.

Za wschodnią ścianą domu, naprzeciwko okna (*kamuy puiyara*) usytuowany był ołtarz *nusa* (*nusasan*) zwany też *inaw-cipa*. Było to miejsce składania ofiar bóstwom (*kamuy*). Według S. Kayano najczęściej składano ofiary bóstwom: ognia (*ape-huci-kamuy*), wody (*wakka-us-kamuy*), drzew (*sir-kor-kamuy*) i niedźwiedzia (*metot-us-kamuy*). W myśl wierzeń Ajnów wszystko, co istnieje na tym świecie, pochodzi od bogów i jest po to, aby służyć ludziom. Ajnowie traktowali więc wszystkie przedmioty z szacunkiem i opiekowali się nimi. J. Batchelor opisuje *nusa* jako skupisko krótszych i dłuższych „różdżek" ciętych u góry lub dołu, na nich umieszczano czaszki upolowanych zwierząt (niedźwiedzi, lisów, wilków). Pojedyncze „różdżki" nazywane są *inaw*, zaś *nusa* jest kolekcją drewnianych „różdżek" *inao*, używanych w celach religijnych i ceremonialnych. Oprócz „klasycznych", niskich (40-70 cm), *inaw* ołtarz tworzą wysokie (powyżej 70 cm) *pon-sutu-inaw*, co oznacza wierzbę. Przeznaczone były dla bóstw niedźwiedzi, wody, rolnictwa, lasu. W przeciwieństwie do „klasycznych" *inaw* nie pozbawiano ich kory. Góra część była przycięta na ukos z małym nacięciem, do którego wkładano *inaw-kike*. Według niektórych opinii *pon-sutu-inaw* był najstarszym typem *inaw*, prototypem do kolejnych modyfikacji. Lewa strona *nusa* nazywana była *sin-nurappa-us*, „miejsce upamiętnienia przodków". Ajnowie nie odwiedzali cmentarzy, bali się grobów swoich zmarłych, dlatego jedzenie i inne dary były składane na ołtarzu. Libacje z *sake*, którym towarzyszyły specjalne prośby, również były składane bezpośrednio na ołtarzu.

Nusa można było też spotkać poza zagrodami, na plaży, skąd rybacy wyruszali na łodziach na połów – te są przeznaczone dla bóstw morza (*kema-ush inao*).

Nusa w literaturze nazywane jest także świętym płotem. Jest to nieco mylne określenie nawiązuje ono do kształtu ołtarza, a nie do jego funkcji

Inaw może mieć różne kształty w zależności od jego przeznaczenia i regionu. Na *inaw* składano z czasie uczt ofiarę z alkoholu. Ajnuskie *inaw* wyobrażają pośredników między bogami a ludźmi, zaś zwisające z nich liczne wióry symbolizują języki, którymi istoty te posługują się w rozmowach z bogami. Można było je spotkać w domu, przy ognisku, zaczepione przy sprzętach domowych, były głównym elementem ołtarzy sytuowanych w zagrodach lub na brzegu morskim. Ten ostatni zazwyczaj był usytuowany na wydmie w pobliżu postoju łodzi.

I-o-mante – odsyłanie niedźwiedzia

Jednym z najważniejszych świąt Ajnów było *i-o-mante*, zwane wysyłanie niedźwiedzia lub festiwal niedźwiedzia, w dosłownym tłumaczeniu oznacza „wysłać coś / kogoś". Ajnowie wierzyli, że bogowie odwiedzają ich pod postacią zwierząt, bóg łowiectwa pojawiał się pod postacią niedźwiedzia przynosząc mięso i futro do świata ludzi. W dowód wdzięczności składano ofiarę niedźwiedziowi i odsyłano jego duszę z powrotem do bogów.

Aby zorganizować święto, należało złapać niedźwiedzia, najlepiej małego i tuczyć go przez dwa lata w specjalnej klatce, aż dojrzeje.

Mistrz ceremonii – gospodarz, właściciel niedźwiedzia – zbliżając się do klatki oznajmiał, że zaczyna się ceremonia pożegnalna. Następnie wyznaczał młodego mężczyznę, aby wyprowadził na linie niedźwiedzia z klatki i przywiódł go przed *inaw*. Tam gospodarz przebijał serce zwierzęcia zaostrzoną strzałą. Następnie na jego szyi kładziono belkę, po której ludzie skakali, aby rytualnie udusić zwierzę, nawet jeśli już było martwe. Potem wystrzeliwano tępe strzały do nieba, aby upewnić się, że dusza niedźwiedzia wróci do kraju bogów.

Martwe ciało niedźwiedzia układano pośrodku ogrodzenia z *inaw* i obdzierano ze skóry, z wyjątkiem głowy, dla której było przeznaczone honorowe miejsce naprzeciwko ogniska. Następnie rozpoczynała się libacja. Miseczki sake podawano z *iku-pasuy*, a mężczyźni pili z nich swobodnie, gdy złożyli ofiarę bogom. Kulminacja przyjęcia miała miejsce, kiedy kobiety zaczynały śpiewać i tańczyć z mężczyznami. O północy zdejmowano skórę z głowy niedźwiedzia, a czaszkę nabijano na patyczki udekorowane wiórami z drewna i umieszczano na płocie. Im więcej takich czasek znajdowało się na płocie danej rodziny, tym była ona szczęśliwsza i lepiej prosperowała.

Kotany – suwerenne wioski

Ajnowie żyli w wioskach *kotanach* składających się z kilku, rzadko kilkunastu zagród. *Kotany* usytuowane były niedaleko łowisk i siedlisk, gdzie łatwiej było o pożywienie i wodę – najczęściej nad brzegiem morza lub w dolinach rzecznych. Każdy *kotan* (wieś) miał swojego przywódcę. Nie było jednego wodza wszystkich Ajnów na Hokkaido, nie posiadali scentralizowanej władzy, jednoczyli się tylko w sytuacji zewnętrznego zagrożenia.

„Wieś ajnoska składała się z zabudowań rozrzuconych nieregularnie wśród ogrodów z kartoflami, fasolą, kukurydzą, cebulą oraz inną ogrodowizną. Ściany chat i dachy trzcinowe, okna bez szkieł, nawet bez japońskich papierowych *szodżi*. Drzwi zawieszone matami. Jak oni wytrzymują w czasie zimy, kiedy mrozy dochodzą do 12 i 15 stopni Cel. i nie raz panują parodniowe śnieżne zawieje? Ale wtedy było tak pięknie i ukryte w zieleni chaty sprawiały takie malownicze, czysto polskie wrażenie. Luźnym szeregiem domy dochodziły aż do samego morza, które tam tworzyło wielka zatokę obrzeżoną żółtymi piachami. Wymarzone miejsce do lądowania i niewodźby. Stał tam na wydmiskach szereg dużych łodzi rybackich na potocznych okrąglakach i widać było kilka kołowrotów do wyciągania statków na brzeg" (W. Sieroszewski, *Wśród kosmatych ludzi*).

Cise – chata, w której wszystko ma swe miejsce

Wnętrze chaty *cise* miało jedno pomieszczenie o wymiarach 4 x 5 m do 5 x 7 m, małe *cise* miały około 20 m²· a duże nawet do 100 m². W środkowej części znajdowało się palenisko, a nad nim półka. Na lewo od wejścia, w rogu, było miejsce do spania wyłożone matami *toma*. Gdy Ajnowie żyli w pomieszczeniach z klepiskami, łóżka były na niewielkich podwyższeniach.

Naprzeciwko paleniska, w środku tylnej ściany, znajdowało się okno skierowane w stronę południowego wschodu (*ror-un-puyar*). Miejsce siedzące między ogniskiem a *ror-un-puyar* nazywa się *ror-un-so*. Na lewo od tego miejsca, z tyłu w kierunku ognia, znajduje się *harki-so* (miejsce siedzące dla kobiet, członkiń rodziny), zaś na prawo jest *siso* (dla męskich członków rodziny). Ważne przedmioty gospodarstwa domowego, takie jak pojemniki *sintoko* przechowywane są z tyłu *siso*.

Wacław Sieroszewski tak opisuje wnętrze chaty. „Minęliśmy obszerną sień, pełną skrzyń, beczek i naczyń, narzędzi i weszliśmy do obszernej, czystej chaty oświetlonej dużym oknem naprzeciwko wejścia oraz kilkoma mniejszymi w bocznych ścianach. Pod ścianami ciągnęły się niskie prycze przeznaczone do spania. Pośrodku izby na niskim kwadratowym palenisku tlało ognisko, którego dym unosił się ku górze i kopcąc po drodze haki, drążki i zawieszone na nich ryby, ginął w przepaścistych wysokościach ciemnego strychu. Pułapu nie było wcale, podłoga z ubitej gliny, w paru miejscach u ogniska pokryta była pięknymi matami z sitowia. Tam nam kazano usiąść pod wielkim wschodnim oknem, gdyż było to miejsce najbardziej w całym domu zaszczytne. Usiedliśmy na ziemi, gdyż żadnych krzeseł, ani w ogóle mebli, oprócz skrzyń, w chacie nie było" (Wacław Sieroszewski, *Wśród kosmatych ludzi*).

Życie rodzinne w chacie toczyło się wokół ogniska, tam też było miejsce dla gospodarza i gości honorowych. Za ogniskiem (patrząc od strony wejścia z korytarza) znajduje się 'święte' okno wychodzące na ołtarz *nussa* na podwórzu zagrody. Oś wyznaczona przez wejście, palenisko i okno porządkuje przestrzeń wnętrza.

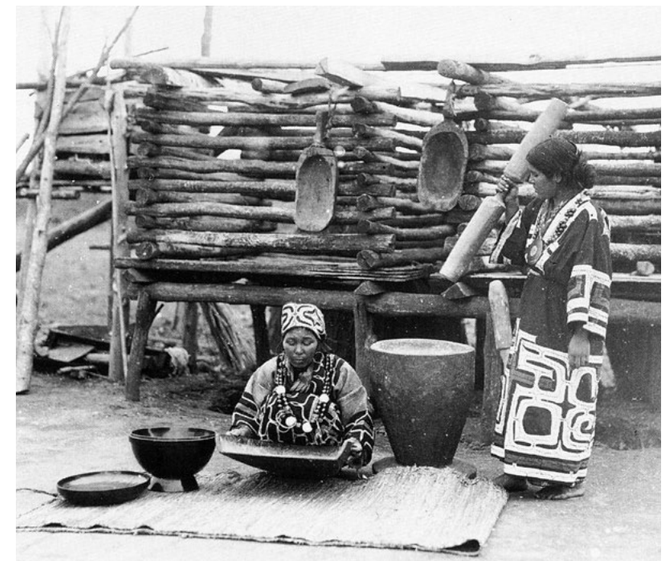

Tama-say – naszyjniki odświętne

Obróbka zboża (młócenie w stępie, czyszczenie) oraz gotowanie – to były zajęcia kobiece. To zdjęcie, pochodzące z początku XX wieku, zostało wykonane po święcie *i-o-mante* („odsyłanie niedźwiedzi") – świadczą o tym puste klatki na niedźwiedzie za kobietami. Fotograf reżyserując to zdjęcie, dokonał pewnego przekłamania. Do codziennych czynności kazał się ubrać kobietom w odświętne stroje oraz założyć cenne naszyjniki (*tama-say*), które uniemożliwiają pracę. Poszczególne ich korale mogły mieć od 3 mm do 4-5 cm. Korale o średnicy do 1 cm były pochodzenia chińskiego, z kontynentu trafiały do Ajnów za pośrednictwem Niwchów. Większe niż centymetr były produkcji japońskiej, wykonywane m.in. na Hokkaido w Matsumae. Szklane korale na naszyjnikach Ajnowie czasem dopełniali kawałkami agatu, bursztynu i różnymi kryształami. Oprócz tego między koralami umieszczali japońskie lub mandżurskie monety z otworem w środku.

Tama-say jest dużym, ozdobnym naszyjnikiem noszonym podczas uroczystości pogrzebowych i świąt. Naszyjniki tego typu były darami dziedziczonymi z matki na córkę. Główna, metalowa część wisiora nazywana była *sitoki*, zawieszona była na jednej lub kilku sznurach. Istniały też naszyjniki, które nie posiadały *sitoki*. Wierzono, że wartościowe *tama-say* miało wiele sznurków z dużą ilością paciorków. Były to przedmioty bardzo cenne, z którymi kobiety rozstawały się tylko w nadzwyczajnych sytuacjach. W tradycji ustnej zachowały się wspomnienia, że sprzedawano *tama-say*, aby ratować rodzinę przed głodem. *Tama-say* było dla kobiet tym, czym miecz dla mężczyzn.

Skarbiec domowy

Po lewej stronie tak wyznaczone osi był „skarbiec", czyli miejsce, gdzie były zdeponowane najcenniejsze przedmioty: stolik (*otcike*), pojemniki (*sintoko*, *patci*, *etu-nu-p*).

Niskie lakierowane stoliki *otcike* nabywano od Japończykami. Podczas ceremonii na stoliku ustawiano czarki *tuki*, a na nich układano szpatułki *tuki-pasuy* służące do składania ofiar z sake. *Otcike* umieszczane były na honorowym miejscu obok paleniska zwanego *rorunso*. Mężczyźni w myśl tradycji zasiadali wokół stolika, modląc się do bogów, po czym przystępowali do libacji. Podczas ważnych ceremonii, takich jak ceremonia odsyłania niedźwiedzia *i-o-mante*, używano stołu lakierowanego czerwonym cynobrem (chińska czerwień) i czarek o podobnym kolorze we wnętrzu. Podczas ceremonii wspominania przodków *sin-nurappa* używano wyrobów czarnego koloru. W trakcie codziennych rodzinnych posiłków nie używano *otcike*, naczynia stawiano bezpośrednio na podłogę pokrytą matami.

Pojemniki *sintoko* (*hokai* jap.) cieszyły się dużą popularnością wśród Ajnów. Termin ten w dosłownym tłumaczeniu oznacza „lakierowany pojemnik z nóżkami". Podczas świąt przechowywano w nich napoje sakralne, a na co dzień kaszę, ryż, bób i inne produkty sypkie We wschodnim rogu tradycyjnego domu ajnuskiego przechowywano cenne przedmioty, zwana *iyoikiri*. Znajdowały się tam m.in. *sintoko*, duże lakierowane pojemniki z pokrywkami i długimi nóżkami. Funkcjonowały od czasów ery Kamakura do Taishō (od XII w. do początku XX w.). Czasami wytwarzane były z wygiętej kształt cylindra kory z dopasowaną pokrywą. *Sintoko* nie były produkowane przez Ajnów, nabywali je drogą wymiany handlowej. Był to dla nich cenny przedmiot, przekazywany następnym pokoleniom w spadku. Wielką wagę przykładano co ochrony lakieru i dbania o pojemnik, by długo wytrzymał. Najstarszy okaz utrzymany przez ajnuską rodzinę datowany był na wczesne lata Momoyama (XVI w.).

Naczynia lakowane (*patci*, *sintoko*) przechowywano w świętym miejscu domu po prawej stronie przy wschodnim oknie. Z przedmiotów układano rodzaj piramidy zwanej po ajnusku *inuma* lub *iyoikir*. Przedmioty te były nie tylko dla ozdoby, wykorzystywano je w czasie świąt, podając w nich potrawy i sake.

Pojemnik *patchi* jest lakierowaną misą bogato dekorowaną (może mieć pokrywę, krótsze lub dłuższe uchwyty). Prawie wszystkie są używane do podawania *sake* podczas ceremonii odsyłania niedźwiedzia *i-o-mante* lub do podawania wody niedźwiedziowi trzymanemu w klatce. Dostarczenie wody dla tego wyjątkowego gościa, zanim zostanie wysłany do świata bogów, wymagało użycia niezwykłej misy podczas ceremonii.

Pojemnik *etu-nu-p* nazwę swoją bierze od formy, ponieważ w języku ajnuskim oznacza „przedmiot używający nosa". Sake z *sintoko* przelewano za pomocą chochli *i-oma-re pisakku* do *etu-nu-p* i przynoszono gościom, następnie przelewano do ich czarek *kapar-pe-tuki*. Często *etu-nu-p* było lakierowane i pozyskiwano je z wymiany barterowej z Japończykami, ale były również ręcznie robione przez Ajnów. Współcześnie, ze względu na zanik języka, Ajnowie na określenie tego pojemnika podają japoński termin *kurumi*.

Attus kar-pe – krosno do przędzy z włókna wiązu

Ubrania wytwarzano z materiału utkanego z włókna kory drzewa *at-ni* (odmiana wiązu). Warsztat tkacki był obsługiwany w pozycji siedzącej. Nici osnowy przymocowane były do jednego końca, a belka przednia do drugiego. Całość wiązano pasem wokół talii osoby tkającej, zazwyczaj kobiety, która kontrolowała napięcie na osnowie. Warsztat tkacki składa się z siedmiu podstawowych części: *wosa* (struna nicielnicowa), *kamakap* (cylindryczny separator przędzy), *peka-un-ni* (pręt), *pera* (łopatka), i *i-sitomusi-p* (pas otaczający talię przędącej).

Przędzenie na warsztacie tkackim było złożonym procesem. W przeszłości kobiety tkały na zewnątrz domostwa i mogły pracować tylko w bezwietrzny dzień, aby nie rozwlec przędzy.

Dobra tkaczka mogła utkać 60-90 cm materiału w jeden dzień lub jedną rolkę tkaniny w 10 dni. Cały proces produkcji od momentu zdjęcia kory z drzewa po gotową rolkę tkaniny, zabierał dwa miesiące.

Święte hafty

Pod koniec XIX wieku tradycyjny materiał na ubrania coraz częściej zastępowała bawełna. Ale tak samo bogato zdobiono ją w motywy i wzory silnie związane z naturą i wierzeniami religijnymi. Wzory haftów i aplikacji były przekazywane w linii żeńskiej. Zanik tradycyjnych strojów ajnuskich rozpoczął się pod koniec XIX wieku wraz z postępującym procesem japonizacji, a od lat 30. XX wieku nie funkcjonują już one w życiu codziennym. Pierwotny strój Ajnów składał się tylko z kaftana i ochraniaczy na golenie i dłonie – spodnie pojawiły się pod koniec XX wieku. Współcześnie tradycyjne stroje ajnuskie używane są głównie przez zespoły folklorystyczne, są ciekawą atrakcją turystyczną.

Dziękujemy Muzeum Miejskiego w Żorach za udostępnienie zdjęć Ajnów oraz eksponatów. Najstarsze – z połowy XIX w. – pochodzą z kolekcji Josepha G. Gerena. Muzeum uzupełniało je zakupami w antykwariatach w Japonii i na aukcjach internetowych. Współczesne eksponaty nabywano w atelier rzemieślników w Biratori-Nibutani, które jest obecnie największym centrum rzemiosła ajnuskiego.

Małe Indie

Tomasz Fedor

Indolog, etnolog, podróżnik, fotograf

Dubaj. Podchodziłem do zwiedzanie tego miasta kilkakrotnie. Ostatni raz w porze największych upałów, kiedy w środku dnia cienia nie znajdowałem nawet pod stopą, a każdy krok był jak zderzenie się z ciężarówką wiozącą samo gorąco. Nigdy nie pojechałem tam na wakacje, nigdy na wakacje się pewnie nie wybiorę – nie przepadam za betonem zmieszanym z kurzem i potem.

Pamiętam pierwszy raz, kiedy leciałem do Indii – sama nazwa Dubaj brzmiała egzotycznie i intrygująco. Sprawdziłem. Sześć godzin na przesiadkę. Przejdę przez kontrole, wyjdę na miasto i wrócę. Nie, nie zdążyłbym. Lotnisko za duże. Za mało czasu. Potem jeszcze parę razy ta sama sytuacja – zawsze w drodze i zawsze za mało czasu.

Takie jest właśnie dla mnie to miasto. Jest za. Za duże, za bogate, za szybkie, za gorące, zamknięte w sobie i zazwyczaj widziane z okienka samolotu lub, przy wielkim szczęściu, zwiedzane przy okazji. Jest za nowe. Nie mogę w nim znaleźć punktu odniesienia, przyzwyczajony do zwiedzania miast indyjskich czy europejskich o historii sięgającej dalej niż opowieści babci. Tu historia zaczyna się w XX wieku i pewnie w XXI wieku się skończy. Miasto-państwo-emirat, zbudowane od zera (włącznie z nową, lśniącą perfekcyjną czystością, z trzypoziomowym parkingiem podziemnym, starówką) na środku pustyni, pośrodku niczego, ze zniszczoną ludzką zachłannością linią brzegową.

Ale. Jedno „za" przemawia za miastem. To małe Indie – te w rozumieniu dawnym, imperialnym, jeszcze przed podziałem. Językiem codziennej komunikacji jest angielski, *ok, no problem*. Drugie dno życia codziennego odkrywa hindi i urdu – języki setek tysięcy imigrantów, którzy przybyli tu za lepszym życiem – już z własnym kinem, telewizją, kulturą. To ci przybysze sprawiają, że miasto jest bardziej ludzkie, to ich można spotkać na ulicach, w ich restauracjach zjeść w przystępnych cenach, to oni wożą cię taksówką, przywożą jedzenie, przerzucają twoją walizkę między samolotami. Oni tworzą to miasto, oni są jego życiem – miejską tkanką.

Gdy patrzyłem na to za-miasto przez szkiełko nowoczesności i bogactwa, miałem dość po kilku godzinach. Kiedy odkryłem, że to małe Indie, poczułem się jak w domu.

E CASTLE

Afrykasy

Eliminatka

W każdym **pionowym** rzędzie liter prosimy wykreślić nazwę jednego państwa afrykańskiego. Wszystkie pozostałe litery, czytane kolejno rzędami **poziomymi**, utworzą siedmiowyrazowe rozwiązanie: przysłowie afrykańskie.

„Kontynenty" nr 3 z roku 1967
Rozwiązanie: s. 162

Z	M	M	S	U	G
C	T	H	A	M	N
I	E	W	U	P	A
A	A	D	A	A	D
O	O	A	D	R	U
M	S	T	K	T	M
B	G	Ó	A	O	B
R	E	L	M	K	I
I	O	L	N	C	I
A	Z	I	A	O	A

Eliminatka pochodzi z „Topografigli" – zbioru łamigłówek publikowanych w „Kontynentach" w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. Zostały one pogrupowane w następujące części: „Transgraniki", „Azjanse", „Afrykasy" oraz „Amerykanty". Książka ukaże się już we wrześniu nakładem Oficyny Wydawniczej Kontynenty.

Tuż za linią frontu

Tekst i zdjęcia: Rafał Grzelewski, PAH

**Droga prowadzi przez szarą pustynię.
Języki pędzonego wiatrem piasku liżą rozgrzany asfalt**

Po lewej szarość pustkowia odcina błękit rozgrzanych wód Zatoki Adeńskiej – pejzaż prawieczny, nietknięty ręką człowieka, zredukowany do elementów podstawowych, kusi obietnicą spokoju. Pejzaż po prawej to pomnik wystawiony ludzkiemu szałowi niszczenia. Długie szeregi zbombardowanych osiedli, w których zamieszkać chce tylko napierający z pustyni piasek. Zatrzymujemy się, żeby się przyjrzeć. W wypatroszonych bombami i kulami mieszkaniach dostrzec można jeszcze elementy dawnego życia. Na podjazdach utknęły spalone samochody. Zwęglone pnie palm runęły na chodnik. W tym mieście duchów panuje absolutna cisza przerywana tylko złowieszczym krakaniem długodziobych wron, wiszących na poszarpanych szkieletach dawnych billboardów.

Jesteśmy na przedmieściach Adenu, największego miasta na południu Jemenu, a jednocześnie tymczasowej stolicy tego od sześciu lat szarpanego przez wojnę kraju. Wojnę, przez którą zginęło ponad 100 tysięcy ludzi i która doprowadziła do największego współczesnego kryzysu humanitarnego na Ziemi. W tym niedostępnym 30-milionowym państwie położonym na koniuszku Półwyspu Arabskiego ośmiu na dziesięciu mieszkańców wymaga pomocy, a 13 milionów głoduje. Jesteśmy na terytorium podzielonym jak szachownica, mgławicowym, będącym jak wyklęte i zapomniane przez świat widmo.

Rafał Grzelewski
Rzecznik prasowy Polskiej Akcji Humanitarnej, wcześniej związany z telewizyjnym dziennikarstwem newsowym

Wojna jest trudna, zagmatwana, prowadzona z udziałem regionalnych potęg, więc mało medialna, bo brakuje łatwego podziału na dobrych i złych. Strony konfliktu nie przestrzegają żadnych praw. Bomby spadają na dzielnice mieszkalne, szkoły, szpitale i bazary. Od ostrzału ginęły dzieci przewożone w autobusach szkolnych, goście weselni i żałobnicy idący w konduktach. Wojna co prawda nie toczy się na terenie całego kraju, ale wszędzie odciska swoje piętno i wciska się w każdy zakamarek życia.

Opuszczamy apokaliptyczny krajobraz przedmieść Adenu i wjeżdżamy do miasta. Po drodze mijamy kolejne pozostałości walk – uszkodzone transportery opancerzone, zbombardowane stacje benzynowe, powyginane przez falę uderzeniową latarnie. To pozostałości oblężenia miasta sprzed sześciu lat.

W samym Adenie, choć widać budynki siekane gradem kul, uderza zgoła inny widok. Ulice zasłane śmieciami, niektóre tak gęsto, że tworzą pstrokate dywany tkane przez kolejne plastiki i utrwalane przez przejeżdżające pojazdy. Śmieci sunące na chodnikach, rozkładające się na poboczach, utknięte na drzewach. Kubły, do których już nikt nie dorzuca nic nowego, bo i tak nie doczekają się odbioru. W broniącym się przed wrogiem mieście usługi publiczne tąpnęły, a śmieciarki zostały zagarnięte i przerobione na potrzeby wojskowe. Takie były priorytety broniącego się desperacko Adenu. Lecz teraz, gdy jest spokojniej, śmieciarek jak nie było, tak nie ma. Miasto powoli opanowują nieczystości. Także te płynne, bo gdy w jednej z dzielnic schronienia zaczęły szukać tysiące uchodźców wojennych, wąskie rury kanalizacyjne nie wytrzymały takiego obciążenia i ścieki zaczęły wylewać się na ulice, tworząc szerokie, cuchnące bajora, w których lęgły się komary malaryczne. Ludzie chorowali, dzieci nie mogły się bawić na zewnątrz, bo wystarczyła kropla, żeby spowodować zakażenie. Jeden z mieszkańców powiedział mi, że czasami nie może wyjść suchą stopą z domu, bo brudna woda okala całą jego posesję. Nie mógł też używać klimatyzacji, żeby nie zasysać toksycznego fetoru do wewnątrz.

To właśnie w tej dzielnicy PAH zaczyna pierwszą interwencję w Jemenie. Nie ma innego rozwiązania – rury trzeba wymienić na nowe.

Uchodźcy, którzy mieli możliwość znalezienia mieszkania, to prawdziwi szczęściarze. Większość z 3,5 miliona ludzi uciekających przed wojną tuła się po kraju, mieszkając w miejscach, do jakich żaden człowiek nigdy nie powinien trafić. Przyjeżdżamy do obozowiska stworzonego na terenie dawnej fabryki, przyklejonego do drogi szybkiego ruchu. Mieszka tam pół tysiąca uciekinierów z miasta portowego Al-Hudajda, areny zaciętych i brutalnych walk. Pod szkieletem opustoszałej hali fabrycznej ludzie z resztek blachy, kartonów i szmat stworzyli sobie namiastki domów. W centralnym miejscu piętrzy się wysypisko, nad którym zbierają się stada wron. W gasnącym świetle dnia dzieciaki bawią się starą oponą, tocząc ją po placu. Z domostw trzeba wyjść najszybciej, jak się da, bo co prawda zapewniają cień i prywatność, ale w ciągu dnia nagrzewają się jak piece i nie da się w nich wytrzymać. W środku jest schludnie i – na ile to możliwe – odtworzona jest tradycyjna struktura domu: kuchnia, pomieszczenie dzienne i część sypialna. Zamiast szaf – foliowe torby wypełnione ubraniami zaczepionymi na żerdziach. W razie ulewy łatwiej będzie ratować dobytek.

Znajduję kawałek cienia i rozmawiam z jedną z mieszkanek, Samirą Yassine. Kilka dni temu padały obfite deszcze, które w połączeniu z zalegającymi na ulicach śmieciami doprowadziły do plagi much. Natarczywe owady nieznośnie utrudniają nam rozmowę, ale po chwili się przyzwyczajamy, bo i tak nic się z nimi nie da zrobić. Samira opowiada mi historię, którą słyszałem z ust wielu jemeńskich uchodźców kilka miesięcy wcześniej w malutkim afrykańskim Dżibuti. To tylko kilkadziesiąt kilometrów przez morze, więc z oblężonej Al-Hudajdy uciekały tam tysiące ludzi.

– Miasto zostało okrążone przez wojska z każdej strony, spadały rakiety – zaczyna opowieść Samira. – Mój dom i dom mojego ojca został zniszczony. Nam udało się uciec, ale moja siostra zginęła na miejscu, eksplozja urwała jej głowę – mówi, wykonując charakterystyczny gest obrazujący dekapitację. – Myśleliśmy, że nic gorszego nas nie spotka, ale potem nastąpił kolejny atak, w którym zginął mój brat, i wtedy uciekliśmy z miasta.

النجم
مخزن النجم
STAR DRUG STORE
DRUG STORE
تبارك الله